

Władysław Królikiewicz, *Z teki scenografa i aktora*, w: *100 lat Fredreum 1869-1969*, Kraków 1969, s. 38-41

[Władysław Królikiewicz wspomnienia]

Teatr wtargnął w moje, po wojskowemu zdyscyplinowane życie, w roku 1928. Powiadają, że świat teatru wchodzi w krew jak bakcyl – i że zaraża na zawsze. Jest w tym dużo prawdy. Z malarstwem zetknąłem się o wiele wcześniej, lecz w porównaniu z nim praca w teatrze jest istnym kotłowiskiem barwy, światła i dynamiki. Praca związana ze sceną pochłonęła cały mój wolny czas.

Scenografia dla Fredreum była pierwszą moją pracą w teatrze, w warunkach zresztą bynajmniej nie łatwych. Zarząd wymagał wciąż oszczędności, a środki na dekoracje bywały więcej niż skromne. To problem ekonomiczny. Inny był natury technicznej. Dysponowaliśmy sceną tak płytką, iż aktorzy musieli się niemal przeciskać za dekoracjami. Wprawdzie świetny aktor i pedagog Józef Chmieliński szkoląc aktorską młodzież mawiał, że im płytsza scena, tym mniej miejsca dla... wsypek, ale dla scenografa to utrapienie. Ten właśnie problem, tj. optyczne pogłębienie sceny, jest pierwszym problemem, który mi się przypomina, gdy uprzytomiam sobie pracę w owym okresie. Trzeba bowiem pamiętać, że rozwijający się teatr amatorski nie posiadał podstawowych urządzeń scenicznych niezbędnych do organizacji przestrzeni plastycznej.

Postanowiłem zatem wyciągnąć ile się da owej dodatkowej przestrzeni, stwarzając dla aktora tło jak najbardziej syntetyczne, eliminując wszelkie zbędne efekty, wszelkie rekwizyty, które rozbijałyby

wrażenie ogólne. Jako uczeń Sichulskiego znajdowałem się głównie pod wpływem impresjonizmu, dlatego też w pracach scenograficznych doceniałem wrażenie całości. Wszelkie, modne w tamtych latach nawet na wielkich scenach, plenery z drzewami, których każdy listeczek wycięty był i grzeczniutko naklejony, wydawały mi się przebrzmiałe. Po usunięciu, drogą eliminacji wszystkich elementów zbytecznych, nie wyłączając drobiazgów mających robić rzekomo „atmosferę”, widzi się dopiero, jakie ma walory owo pozorne zubożenie. Tło syntetyczne nie narzuca się publiczności, nie wyskakuje przed aktora – przeciwnie, bardziej pobudza wyobraźnię widza.

Teatr nasz stawiał sobie ambitne zadanie, miał repertuar rozległy, obejmujący również klasykę. Zdarzały się także sztuki okolicznościowe, a jedną z pierwszych premier, jaką opracowałem malarsko, była „Przysięga”, której autor, gen. Andrzej Galica, ówczesny dowódca Okręgu Korpusu, stanowić może przykład, jak mocno rozwój amatorskiego teatru w Przemyślu wciągnął opiekujące się nim wojsko. Sztuka ta oraz parę następnych premier pozwoliły nabrać mi rozmachu. Zaprawy w tej dziedzinie dostarczył mi niebawem „Pociąg-Widmo” Rile’a oraz „Adwokat i róże” Szaniawskiego, obydwie wymagające koniecznie głębokiej sceny. Dziś scenograf może puścić na małej estradzie międzynarodowy ekspres, załatwiając go umownie paroma ruchami świateł. Lecz wtedy?

Kiedy więc w październiku 1931 roku wystawiono uroczą baśń sceniczną lwowskiego poety i trubadura Henryka Zbierzchowskiego, postanowiłem pohulać sobie w lesie, w którym odbywa się lwia część

akcji. Pomocnicy sceniczni raczej niepewnie i z niepokojem wykonywali moje, tak odmierne polecenia. Zaufaniem darzył mnie jednak — prócz Zarządu — także zasłużony kierownik sceny p. Babiarsz. Na widok drzew, których pełne rozmachu duże płaszczyzny tworzyły z daleka nieoczekiwane trompe l'oeil, dopytywali się o gałązki i listowie, czy będzie się je doklejać dopiero przy założeniu płaszczyzn kolorem. Niektóre z tych drzew poumieszczałem na niewielkich biegunach, ukrytych w „poszyciu” lasu. Podczas wichury stojący za pniami pracownicy sceny wprawiali je w ruch, co w połączeniu z przeciągłym świstem obracającego się za sceną płóciennego bębna trącego o szczotkę ryżową, dawało zaskakujący i wysoce dramatyczny efekt. A przecież nie mieliśmy skomplikowanych mechanizmów, ba, nawet wyciągów, nawet porządnej zapadni! Tak więc zmiany w owym choćby lesie, dzięki malarskiemu zsyntetyzowaniu form i plam, stanowiące pierwsze ożywienie przeze mnie środków technicznych naszego teatru, wywołały wielkie zainteresowanie.

Niemal przy każdej premierze powtarzał się jednak kłopot z rozszerzaniem sceny: chcąc nie chcąc trzeba było się wciąż uciekać do pomocy złudzeń optycznych, bo nie do pomyślenia była wtedy zasada umowności. Repertuar mieliśmy wprawdzie w tym okresie rozległy i „nadażający” w zupełności za sceną europejską, mimo to atmosfera niewielkiego bądź co bądź teatru ograniczała zbyt odważne nowatorstwo. Staralem się jednak w miarę sił dać zawsze dekoracjom jakiś „haczyk”, co oczywiście łatwiejsze było w sztukach, zbliżonych choć trochę do groteski czy fantastyki.

Z okazji jubileuszu Fredreum wystawiono „Damy i huzary”. Zaprojektowana tu dekoracja objęła nie tylko scenę, lecz widownię, co znakomicie rozszerzyło jej teren. Od sceny ciągnął się balkonem fryz głów z papieroplastyki, a wśród nich również osoby występujące w sztuce. Zasadę powiązania sceny z widownią rzadko dawało się stosować. Przeważnie trzeba było sięgać w głąb sceny, zwłaszcza przy dekoracjach przedstawiających wnętrza. Pamiętam jedną z premier, w roku 1935. Sztuka wymagała ogromnej sali bankietowej. Przed samym murem ostatniego planu ustawiłem płótno, w którym powykrawałem prześwity. Spoza nich, przez woskówkę, zwykle żarówki iluminowały namalowane żyrandole i kandelabry. Na wielkim, również malowanym stole bankietowym poprzyklejałem pecyny zmiętej cynfolii, przedstawiające kryształową i srebrną zastawę. Efekt zaskakujący. Sala ciągnęła się w głąb, robiła wrażenie obszernej i rozległej.

Za uporczywą walkę z ciasnotą sceny Fredreum zostałem osobliwie nagrodzony przez los. Kiedy po wojnie objąłem stanowisko scenografa w teatrze Wybrzeża, okazało się, że będą wielkie kłopoty, albowiem scena jest... za duża. Robotnicy teatralni, dźwigający olbrzymiej wysokości kulisy, wyglądali jak krasnoludki. Sceniczne niebo wymagało zasłon z mnóstwa worków UNRRY, a nawet o tak nieskomplikowany artykuł dekoracyjny nie było wówczas łatwo.

Śmiało mogę powiedzieć, że Fredreum posiadało zawsze bardzo wdzięczną i wrażliwą publiczność. A zainteresowanie wzbudzone przez jakiś udany efekt dekoracyjny powodowało nieraz liczne odwie-

dziny za kulisami widzów, spragnionych „tajemnic warsztatowych”.

Zwłaszcza niektóre przedstawienia w plenerze wypadły imponująco. Posłużę się tu opisem Zygmunta Felczyńskiego, autora monografii Fredreum.

„Ciekawym ujęciem wyróżnił się obrazek „Odsiecz Wiednia” pióra członka Fredreum, J. Bartkiewicza, odegrany w 250 rocznicę odsieczy wiedeńskiej, na dziedzińcu zamkowym. W widowisku wziął udział cały zespół amatorski przy współpracy oddziałów wojskowych: w sumie przeszło 500 osób, nadto konie, wozy, artyleria. Wszystko w ujęciu ciekawej dekoracji Wł. Królikiewicza, na tle murów zamkowych, oświetlonych reflektorami, które spełniały rolę kurtyn dla trzech scen i dawały niewidziane dotychczas efekty. Końcowa scena szarży husarii na koniach, popłoch Turków i ich ucieczka, były ujęciem batalistycznym na dużą skalę”.

Wspomniane przez Felczyńskiego „kurtyny” z reflektorów wydobywały z ciemności, to pogrążały w nią pejzaż architektoniczny. Na murach Zamku umieszczone zostały dwukrotnie takie same – dobudowane przeze mnie wieże – tylko w różnych rozmiarach. Duże wieże nad wrotami, przez które karetą ucieka cesarz, dawały wrażenie niewielkiej stosunkowo odległości. Światło gaśnie i nagle całą siłą reflektorów oświetla się fragment z mniejszymi wieżycami – pejzaż odskakuje w dal, jak za użyciem zmniejszającego końca lunety. Złudzenie odległości jest zupełne.

Również światłami operowałem w plenerze w sztuce „Kres wędrówki” przerobionej z powieści Scheriffa. Była to ostatnia sztuka, jaką opracowałem dla Fredreum, a zarazem ostatnia moja praca scenograficzna.

przed wojną, z doskonałym zresztą reżyserem, z którym dobrze się pracowało, Feliksem Grossem-Korczyńskim.

Pod koniec w latach 1935–1936 powstał zespół rewelersów, w którym brałem udział i zdarzyło się wystawiać rewie okolicznościowe, gdzie pole do tricków i pomysłów było właściwie nieograniczone. Przypomina mi się tu jeszcze, jak już w okresie fuzji zespołu wojskowego przy Kasynie z zespołem Fredreum, dla którego, jak pisze Felczyński, wojsko podchowało sporo doskonałych sił amatorskich – zdarzało mi się, przyszedłszy rano do biura, znaleźć w rozkazie dziennym mego dowódcy, który zapalił się do spraw teatralnych, np. dziwne polecenie: wykonać z dykty sowę... lub inne tego typu zadanie.

A zatem „Kres wędrówki” był zarazem kresem mojej współpracy z tym uroczym teatrem i zespołem. W końcu roku 1936 zostałem przeniesiony na inne stanowisko i nie powróciłem więcej do Przemyśla, chociaż często powracałem tu we wspomnieniach.